



Mirosław Derecki

LEŚNY SZPITAL

Był to jedyny stały partyzancki szpital w kraju. Jego oficjalna nazwa brzmiała: „Szpital nr 665”. Ów numer wciął się od kryptonimu, jakim w akowskiej konspiracji oznaczony był Obwód Biłgoraj, na którego terenie egzystowała owa całkowicie unikalna placówka.

Stał „Szpital 665” w jednym z zakątków Puszczy Solskiej, w wysokim sosnowo - jodłowym lesie, nad niewielkim potoczkiem, w odległości dwóch kilometrów od wsi Trzepotaniak. Od północy chroniły go rozległe, trudne do przebycia bagna, w niedalekiej odległości obozowały partyzanckie oddziały Adama Hankiewicza - „Woyny” i Konrada Bartoszewskiego - „Wira”.

Szpital mieścił się w dwóch solidnych drewnianych niemieckich składanych barakach wojskowych. W większym z nich urządzono salę dla chorych oraz salę ambulatoryjno-operacyjną, w drugim, o wiele mniejszym, mieściła się kuchnia. W pobliżu znajdowała się studnia. Przed budynkami, pod koronami drzew, stał długi drewniany stół, zбитy, z prostych desek, otoczony ławami. Była to szpitalna jadalnia. Główny barak został ustawiony w ten sposób, że przez jego środek przechodził pień wysokiej jodły tak, iż tworzył się nad dachem rodzaj parasola, doskonale maskującego szpitalne pomieszczenia przed okiem niemieckich samolotów rozpoznawczych.

Znajdowali tu pomoc lekarską partyzanci „Woyny” i „Wira”, ale także wszyscy inni żołnierze różnych leśnych oddziałów. To właśnie tutaj kurował się po operacji ropnia okołonerwowego major „Feliks” z radzieckiego oddziału partyzanckiego. Przewiózł go w stanie ciężkim, z objawami zakażenia ogólnego, major Armii Krajowej Stanisław Prus. Operacja przebiegła pomyślnie i po kilku tygodniach chorego zabrał z lasu specjalnie przysłany radziecki samolot.

Na co dzień w szpitalu dokonywano nacięć ropni, usuwania kul i odłamków, szycia ran, nakładania gipsów na złamane podczas bojowych akcji ręce lub nogi.

Komendantem szpitala był lekarz obwodu biłorajskiego AK, Lucjan Kopeć-„Radwan”, a przełożoną sanitariuszek - Janina Roguska (później Roguska-Bartoszevska) ps. „Nina”. W pierwszym okresie lekarzem był tu również dr „Biga”. W późniejszej fazie

istnienia szpitala przybył na stałe także drugi, obok „Radwana”, lekarz - Zbigniew Krynicki-„Korab”.

Myśl zorganizowania stałego leśnego szpitala narodziła się w partyzanckim obozie por. „Wira” w pierwszych dniach maja 1944 r. Miami na tę decyzję wpływ fakt, że po ostatniej akcji w Suścu na stację kolejową leżało w bunkrze „Wira” pięciu rannych partyzantów, potrzebujących stałej opieki lekarskiej, a nasilające się działania bojowe kazały przypuszczać, że w najbliższym czasie w oddziałach partyzanckich, operujących w Puszczy Solskiej, znajdzie się coraz więcej rannych lub kontuzjowanych żołnierzy, których nie będzie można - jak to dotąd niejednokrotnie bywało - zamelinować pod fałszywymi nazwiskami w okolicznych wsiach lub nawet w samym powiatowym szpitalu w Biłgoraju, gdzie pod okiem jego dyrektora, i zarazem szefa służby medycznej obwodu AK, dr. Stanisława Pojaska, dochodzili oni bezpiecznie do zdrowia, zarejestrowani jako „ofiary nieszczęśliwych wypadków”...

„Radwan” wybrał odpowiednie miejsce. Co do samych „budynków szpitalnych” to postanowiono „zorganizować” je na stacji kolejowej Długi Kąt, niedaleko od Józefowa Biłgorajskiego, gdzie dotąd stały, służąc okupantowi.

W kilka dni później „Radwan” wraz ze Stanisławem Kowalskim-„Hukiem”, sanitariuszką „Niną” i kilkoma jeszcze żołnierzami z oddziału „Wira” pojawił się w Długim Kącie, zupełnie nie krępując się obecnością Niemców. Ci zresztą zaszyli się w swych pomieszczeniach, udając, że w ogóle niczego nie zauważają.

Rozebrane baraki miały być przetransportowane do lasu na furmankach, dostarczonych przez dowódcę placówki AK w Majdanie Nepryskim, por. Franciszka Mielniczka - „Jeża”. Jedynymi strzałami podczas tej akcji były te oddane w powietrze, na postrach, przez partyzantów... Ostatecznie całą akcję dokończył w kilka dni później „Huk”, dostarczając baraki na miejsce wybrane przez „Radwana”. Pomagali mu ludzie od „Wira”, a furmanki-podwody były własnością mieszkańców wsi Aleksandrów. Porucznik „Huk” osobiście nadzorował budowę leśnego szpitala, mając po temu odpowiednie kwalifikacje - był z wykształcenia saperem.

Około 20 maja 1944 r. szpital był gotów. W pomieszczeniu dla chorych znajdowało się czternaście łóżek z porządną pościelą, uszytą z kolorowych spadochronów zrzutowych. Łóżka były równo zasłane zrzutowymi kocami. Ambulatorium zostało bogato wyposażone przez dyrektora biłgorajskiego szpitala, doktora Pojaska. Kuchnia posiadała pełne wyposażenie. Przygotowano również pomieszczenia mieszkalne dla personelu, pomieszczeniu magazynowe, stajnię. Posiadał szpital swój oddział osłony: trzynastu żołnierzy pod dowództwem kaprała Władysława Drygasa - „Żbika”, doskonale uzbrojonego

w niemiecką i aliancką ręczną broń maszynową, a także w dwa „elkaemy”, dwa rkm-y oraz karabin przeciwpancerny.

Personel szpitala stanowili wspomniani już tutaj lekarze: „Radwan” (przejściowo „Biga”) oraz „Korab”. „Nina” kierowała pracą sanitariuszek: m.in. Danuty Wójcik-„Danusi” i Anny Sobczak-„Brzozy”. Był także personel administracyjny: Halina Wójcik-„Halina” i Stefania Nowak-Mirska - „Stefcia”. Wielką pomoc w urządzaniu tej niezwyklej „placówki zdrowia” okazała Aniela Nowakówna-„Agnieszka” z Długiego Kąta oraz członkinie Wojskowej Służby Kobiet ze wsi Trzepietniak.

I wreszcie - żywy inwentarz. Stanowiła go para koni, ofiarowanych przez dowódcę jednego z oddziałów partyzanckich, por. Józefa Styglińskiego - „Corda”, oraz mleczna krowa, która była darem por. Konrada Bartoszewskiego- „Wira”. Miary wyposażenia „Szpitala nr 655” dopełniał zrzutowy odbiornik radiowy i linia telefoniczna, łącząca szpital z obozem „Wira” oraz obozem kompanii sztabowej „Woyny”.

Lekarze „Radwan” i „Korab”, nie posiadali wprawdzie jeszcze dyplomów (byli przed wojną studentami OWSan-u, uczelni kształcącej podchorążych lekarzy wojskowych), ale znalazłszy się podczas okupacji w biłgorajskim szpitalu, przeszli doskonałą szkołę medycyny pod ręką dr. Stanisława Pojaska. „Radwan” był już niezłym chirurgiem, a nie ustępował mu „Korab”.

Co do przełożonej sanitariuszek, Janiny Roguskiej, to znalazła się ona na tych terenach dopiero pod koniec kwietnia 1944 r.. przyjechawszy z Warszawy do Józefowa Biłgorajskiego z ramienia stołecznej konspiracji z ładunkiem „bibuły”. I z mocnym postanowieniem dostatnia się do jakiegoś leśnego oddziału, co istotnie znalazło swój pomyslny finał. „Wir” miał właśnie w swym bunkrze kilku rannych i musiał im zapewnić stałą pomoc i opiekę medyczną.

Niewiele ponad dwadzieścia lat licząca „Nina”, córka radomskiego adwokata i notariusza, miała, już za sobą kilkuletnią działalność w Armii Krajowej, ukończoną na Żoliborzu konspiracyjną podchorążówkę a przede wszystkim dyplom warszawskiej szkoły pielęgniarstwa, prowadzonej przez Fundację Rockefellerowską, oraz rozpoczęte studia na kursach lekarskich Zaorskiego, będących w gruncie rzeczy zakonspirowanymi normalnymi studiami medycznymi. W Warszawie brała udział w akcjach „małego sabotażu”; w „gazowaniu” kin, unieruchamianiu niemieckich samolotów, przecinaniu linii telefonicznych. Zajmowała się także m.in. zakupem i transportem broni.

Uroczyste otwarcie „Szpitala nr 665” odbyło się na początku drugiej połowy maja 1944 r., w dniu Zielonych Świąt. Przybyli goście z okolicznych oddziałów i z komendy Obwodu, a także zaprzyjaźnieni cywile. O godz. jedenastej rano przy specjalnie wzniesionym

pod koronami drzew ołtarzu odprawił mszę polową partyzancki kapelan ksiądz Bolesław Świś. Potem poświęcił szpital, wygłaszając również stosowne przemówienie. Następnie był żołnierski obiad, podczas którego niejednemu z uczestników dobrze w głowie zaszumiało, a to za sprawą krzepkiego „ajerkoniaku”, co - z braku odpowiedniejszego naczynia - zółcił się w blaszanym wiadrze.

Pod koniec pięknego i radosnego dnia doniesiono „Wirowi”, że do Łukowej i w jej okolicy przybyły większe jednostki Kałmuków. Był to początek niemieckich działań przeciwko polskiej partyzantce. Działania te na przełomie drugiej i trzeciej dekady czerwca 1944 r. miały doprowadzić do zażartych walk okrążonego przez kilka dywizji niemieckich w Puszczy Solskiej, partyzanckiego zgrupowania AK majora „Kaliny” (Edwarda Markiewicza) i do pamiętnej bitwy pod Osuchami, kiedy to Polacy już po Śmierci mjr. „Kaliny”, przebijali się pod wodzą por. „Wira” przez pierścień niemieckiego okrążenia.

W okresie narastającego zagrożenia w końcu maja i w pierwszych tygodniach czerwca, gdy nad lasami krążą niemieckie samoloty zwiadowcze a bombowce zrzucają swój ładunek, na okoliczne wsie, gdy dochodzi do coraz częstszych i coraz bardziej krwawych potyczek z oddziałami przeciwnika, do szpitala zaczyna płynąć coraz bardziej nasilający się strumień rannych.

Napiszą o tym w kilkadziesiąt lat później, w niepublikowanej dotąd relacji pt. „Szpital leśny 665”, Janina Roguska-Bartoszewska i Lucjan Kopeć (na tym głównie źródle opieram się w niniejszym artykule:

Szpital udziela pomocy lekarskiej partyzantom polskim i radzieckim oraz rannym podczas bombarowania wioski. [...] Wśród szeregu drobnych zabiegów niejednokrotnie wykonywano i poważniejsze operacje. Były na przykład dwa wypadki ran postrzałowych brzucha. [...] Do codziennych zajęć należało prowadzenie krótkich historii chorób, księgi zabiegów i ewidencji chorych. Zaglądali też do szpitala lekarze poszczególnych oddziałów: „dr Helena” (Helena Poradowska) i „Oldan” (Tadeusz Błachuta), dowiadując się o stan swoich rannych. Niestety, po zakończeniu dokładnych przygotowań i zaciągnięciu kotła Niemcy 21 czerwca rozpoczęli natarcie od szosy Biłgoraj - Zwierzyniec, rzucając wyborowe oddziały specjalne, szkolone do walk leśnych. Dochodzi do pierwszych starć z oddziałem „Corda” pod Brodziakami. W szpitalu „Radwan” otrzymuje telefoniczny rozkaz, żeby nazajutrz rano przysłać patrol sanitarny do obozu „Woyny” i przygotować szpital do ewentualnej ewakuacji. [...] Rano udał się do oddziału „Woyny” patrol sanitarny pod dowództwem „Koraba” z sanitariuszkami „Irką”, „Danusią” i „Brzozą”. Powrócił w południe, przywożąc rozkaz ewakuacji szpitala. Szpital był już na to przygotowany.

Lżej ranni odeszli do domów lub do macierzystych oddziałów; wypadki cięższe odesłano do Biłgoraja. Kilku rannych oraz dobytek szpitalny (po zakopaniu części sprzętu sanitarnego w bębnach zrzutowych) zostaje załadowany na furmanki.

Koło szpitala przechodzą wycofujące się oddziały „Rysia”, „Topoli” i wreszcie „Woyny”. Jest kilku rannych, którym personel szpitala zakłada opatrunki. Na końcu oddziału „Woyny” wycofuje się sztab inspektoratu [zamojskiego – MD] z mjr. „Kaliną” i rtm. „Mieczem”. Czas na ewakuację szpitala. Pozostaje pusty barak z flagą Czerwonego Krzyża. Nie uchroni go to od spalenia przez Niemców.

Teraz leśny „Szpital nr 665” nie jest już placówką stacjonarną, ale szpitalem partyzanckim na wozach. A gdy pierścień niemieckiego okrążenia coraz bardziej się zacieśnia, gdy partyzanci postanawiają zapaść w nieprzebyte bagna, szpitalny tabor zostaje porzucony. Rannych przełożono na nosze, szpitalny dobytek rozdzielono pomiędzy personel i żołnierzy. Wkrótce nastąpią dramatyczne chwile przebijania się pod Osuchami. I choć „Szpital nr 665” przestał już istnieć, de facto żyje on nadal, lekarze i sanitariuszki nadal będą nieść pomoc rannym bezpośrednio na polu walki.

Wkrótce po zakończeniu wojny sanitariuszka „Nina” spisała - na prośbę lekarza z Szczebrzeszyna i zarazem historyka, dr. Zygmunta Klukowskiego - relację ze swych przeżyć podczas walk zgrupowania majora „Kaliny”. Zatytułowana „Wspomnienia sanitariuszki z akcji pod Osuchami”, owa przejmująca, doskonale oddająca atmosferę tamtych dni, opowieść znana była dotąd tylko nielicznym. Oto jej fragmenty, dotyczące przebijania się przez pierścień wojsk niemieckich w nocy z 23 na 24 maja 1944 r:

Dochodzi godzina trzecia. Niebo na wschodzie ledwie zaczyna szarzeć. Nad wilgotną łąką i zbożem unoszą się tumany mgły. Trawa wydaje się w niej zupełnie srebrzysta, brodzimy w niej po kolana, a mgła zaciera i pochłania w siebie sylwetki naszych postaci. Żołnierze biegną teraz pochyleni z wysuniętą naprzód, zarepetowaną bronią i z granatami w ręku. Nie zważam już na to, że opatrunki i narzędzia w mojej torbie sanitarnej brzęczą nieznośnie głośno. Staram się tylko biec jak najszybciej i nie stracić z oczu por. „Małego”. „Koraba” i „Radwana”, którzy biegną przede mną. Za sobą słyszę głosy „Hanki” i „Danusi”. Brzeg rzeki zjawia się niespodziewanie – wysoki i urwisty. Woda szumi głośno - widocznie prąd jest bystry. Ale nie ma czasu na wahanie. „Mały” skacze pierwszy. Zanurzam się za nim w lodowatą wodę. Przychodzi mi na myśl, że jeśli tak ma wyglądać przebijanie się, to nie jest ono wcale atrakcyjne ani specjalnie groźne - najwyżej nieprzyjemne. Lecz nagle rozlegają się suche, ostre serie. [...] Setki świetlnych pocisków jak rozwścieczone owady nalatują wprost na nas. [...] Walka rozpoczęta. Por. „Małemu” zacina się magazynek. Wściekły - szarpie go i wyrzuca. Po chwili spokojnie pruje z drugiego krótkie serie. [...] Ciosy giną w piekielnym

jazgocie. Wreszcie „Mały” zawraca by podciągnąć ludzi - i od tej pory już go więcej nikt żywym nie widział. Padł w zbożu o osiemdziesiąt metrów w tyle. [...] Na tle nieustannego terkotu, broni maszynowej słychać wybuchy granatów i „gamonów” angielskich. W pewnej chwili widzę, że biegnący przede mną chłopki z taśmą LKM-u na szyi, prawdopodobnie amunicyjny, pada na wznak z rozkrzyżowanymi ramionami. Biegnę do niego. Ma ciężki postrzał w okolicy kości krzyżowej i widocznie uszkodzony kręgosłup, bo natychmiast nastąpił paraliż nóg. Podciągam go pod najbliższe drzewo. [...] Opatrunek w tych warunkach może być najprostszy. Znowu ktoś ranny jęczy opodal, chcę biec do niego, ale spostrzegam, że kłęczy przy nim siostra „Danusia”. „To Ziemia zabity - krzyczy, przebiegając „Radwan” – „Niech siostra jak najszybciej stora się brnąć naprzód”.

Oślabła od wyciągania rannych spod kul. „Nina”, biegnąca wraz „Burzą” po następnych rannych, dostrzega szeroką leśną ścieżką:

„Burza” wstępuje w nią pierwszy i pada natychmiast. Byłam pewna, że się potknął... Nawet nie potrafiłam rozróżnić serii, która wyszarpała mu obie tętnice udowe. Krew bucha rytmicznie, zalewając mi ręce, którymi usiłuję rozerwać spodnie i założyć opaskę. Uchodzi z niego wraz z życiem tak szybko, że aż wydaje się to niemożliwe. Usta zatracają swój wyraźny kontur, oczy matowieją. Głowa opada mu bezwładnie w tył. W rozpaczę chwytam czapkę i chlustam mu w twarz wodę z kałuży. Otrzeźwia go to na chwile. Wie, że musimy uciekać. Rozpaczliwie stara się opanować zdobywającą go ciemność. W tej chwili nadbiega do nas „Magik” z „Murzynem” i jeszcze któryś z chłopców. Biorą go między siebie. Chcemy odebrać mu Stena - jest przecież ciężki, ale za nic nie chce wypuścić go z ręki. „Nie oddam broni, siostrzo” - szepce bezkrwistymi wargami... Nie oddał, jej do końca. Wiele kłopotu miał „Magik”, zanim ją wyjął z martwej już dłoni.

Okazuje się, że ranny, do któregośmy wracali z „Burzą”, również już nie żyje. Ktoś krzyczy: „Siostrzo, »Radwan« ranny!” Biegnę w tamtym kierunku. Chłopiec, który mnie mijal przed chwilą, leży na ziemi z rozkrzyżowanymi rękoma i szklistymi oczyma spogląda w szarzące niebo.

Jeszcze jakieś trupy, jeszcze... I nagie strzały utraciły swój żywiołowy impet z chwil poprzednich. Czuję, że jestem już za kręgiem bezpośredniego niebezpieczeństwa. Wiem, że „Radwan”, do którego biegnę, jest tylko ranny. Zabici pozostali za nami. Zabici i ci, którzy nie przeszli. [...]

Obieramy kierunek na północ i idziemy szybko, potykając się co chwilę o czerwone druty linii alarmowych i łączności, gęsto tnących las „Radwan” chwieje się. Krew przesącza mu się przez tampon z gazy i kapie po postrzępionym ubraniu. Ale wiem, że będzie się trzymał do ostatka. Jeśli nie rozum, to instynkt każe nam przeskoczyć szosę patrolowaną przez konne

oddziały Niemców. Nieomal patrzą na nas poprzez odległość, ale las kryje nas wiernie i czyni niewidzialnymi.

Dwa dni przesiedziała „Nina” w gęstwinie leśnej, opiekując się „Radwanem” i dwoma innymi rannymi, w każdej chwili spodziewając się nadejścia Niemców. Aż nagle usłyszeli wśród drzew ludzkie głosy. Ale to byli swoi: „Korab”, por. „Huk”, „Murzyn”, „Śniardwy”, „Selim”, „Spadochron”, „Muniek” i jeszcze inni... Długo ich szukali po lesie i wreszcie odnaleźli.

Po wojnie Lucjan Kopeć - „Radwan” i Zbigniew Krynicki - „Korab” dokończyli studia lekarskie, a „Nina”, Janina Roguska-Bartoszevska, żona „Wira”, zrobiła magisterium z psychologii. „Radwan” osiedlił się w Lubaniu Śląskim, gdzie przez kilkadziesiąt następnych lat sprawował funkcję dyrektora tamtejszego szpitala, który unowocześnił i znacznie rozbudował. Zmarł w 1987 r. - nic na to nie wskazywało, gdy kilka miesięcy przedtem przyjechał do Lublina na pogrzeb „Wira”. „Korab” mieszka we Wrocławiu. Jest na emeryturze. Przez wiele lat był dyrektorem tamtejszego dziecięcego sanatorium rehabilitacyjno-ortopedycznego. Mgr Janina Bartoszevska pracuje jako psycholog w lubelskim szpitalu w Abramowicach.,

W miejscu, gdzie czterdzieści cztery lata temu wznosił się leśny „Szpital nr 665”, stoi dziś pamiątkowy kamień. Postawił go tam ludowy rzeźbiarz ze wsi Siedliska pod Józefowem Biłgorajskim, były podkomendny „Wira”, Adam Grochowicz. Ten kamień upamiętnia także życie i śmierć w boju pod Osuchami trzech sanitariuszek szpitala, niosących pomoc rannym żołnierzom - Ireny Piskorskiej, Stefani Mazurówny i Anieli Kukiełki.

Pierwodruk: „Kamena”, 1988, nr 14, s. 8-9.